

Pieskie życie

Kiedyś pisałam o uśmiechu mojego przygarniętego z ulicy bezdomnego i schorowanego psa Floresa (teraz już pięknego i szczęśliwego) i chciałam wrócić do tej sprawy, bo jak tak patrzeć na moje otoczenie, to chyba niewiele się w życiu zwierząt żyjących w moim sąsiedztwie zmieniło i nadal naszym psem przypada w udziale pieskie życie. Wiem, że są pilniejsze sprawy, może rzeczywiście albo tylko pozornie pilniejsze, ale to właśnie nasz stosunek do zwierząt świadczy o naszym poziomie cywilizacyjnym, społecznym, kulturowym. I gdyby po nim sędzić (jak się popatrzy po tych smutnych psach wiszących na łańcuchach albo zamkniętych w zbyt małych kojcach, rzadko wypuszczanych na spacer) to zbyt wysoko nie stoimy.

Jest kilka problemów, które mnie zastanawiają już od dłuższego czasu, na przykład dlaczego tak mało osób na wsi pozwala mieszkaniu psom w domu? W mieście jest to właściwie normą, a na wsi utarły się te łańcuchy, budy i nieszczęśliwe psy. Pewnie ktoś powie, że psy na wsi są od pilnowania obejścia. No dobrze, to nich w dzień wchodzić do domu, a w nocy latają swobodnie po obejściu i pilnują, drzemią w swojej czystej, ciepłej budzie. Tylko czy aby nie jest tak, że nasze psy żyją w takich warunkach, że nie mogą po prostu z budy wejść do domu, bo by dom zapchliły? Może przy okazji warto powiedzieć, że psy powinny mieć obroże przeciwchpeline albo specjalne preparaty wcierane w skórę, żeby, zwłaszcza latem, nie męczyły się z milionami pcheł. Co pół roku profilaktycznie powinny też dostawać tabletkę na pasożyty. Czasem młody piesek choruje, wymiotuje i nie ma apetytu, bo w jego układzie pokarmowym rozwinęły się pasożyty i taka mała tabletką ratuje mu po prostu życie. Piszę o tym, bo weterynarze w mojej wsi losami psów chyba w ogóle się nie interesują: interes to niedochodowy, więc logiczne, że nikt się tym kłopotać nie będzie. Pomysł, by w każdej gminie były przechodnie przytuliska dla psów wyrzuconych przez nieodpowiedzialnych właścicieli z opieką weterynaryjną świadczoną za darmo i z miłości do zwierząt to chyba też utopia?! W takich przytuliskach można by doraźnie pomóc 2-3 pieskom, które nagle nie wiadomo skąd (przed letnimi albo zimowymi wakacjami) po-

jawiają się i wałęsają po okolicy. Zanim oddamy je do dużego schroniska, gdzie szansa na adopcję jest nikła, spróbujmy poszukać wśród nas, czy w naszym środowisku nie znajdzie się ktoś, kto nie potrzebuje prawdziwego przyjaciela, bo to na pewno będzie dobry i wierny przyjaciel. Gdyby władze gminy albo wiedziona francuskańskim współczuciem do zwierząt ksiądz (wierzę, że jeszcze gdzieś tacy są) zainteresowali się tą sprawą, to może miałyby ona szansę powodzenia. Bo człowiek sam w pojedynkę za wiele zrobić nie może: miałam jednego pieska, wiedziona współczuciem wzięłam drugiego, a i tak usłyszałam od sąsiadów, że może tu wkrótce zrobić schronisko. Moje oba psy mieszkają, a więc i śpią w domu, i nikomu po nocy nie hałasują.

Piesek mieszkający w domu jest dużo bardziej sympatyczny niż ten trzymany na łańcuchu, wpisuje się w nasz rytm życia, w ciepłe dni siedzi na podwórku, a wieczory i zimą spędza z człowiekiem. Zauważam z przykrością, że nawet ludzie, którzy podobno lubią zwierzęta, psów w domu nie trzymają, a co dopiero mówić o tych pseudomiłośnikach zwierząt (artykuł jednego kiedyś przeczytałam chyba w zeszłym roku w tej gazecie; z tego, co pamiętam, to chciały one całkowicie izolować psy od ludzi, żeby nie pojawiały się ani na plaży, ani na ulicy). Higiena higieną, ale myślę że ten walczący o prawa ludzi człowiek chyba nie zauważył, w jakich warunkach generalnie żyją psy na wsi. Poza tym ja jestem przeciwniczką takiej całkowitej izolacji, chyba że chodzi o rasy szczególnie niebezpieczne, agresywne, ale co mi może zrobić kręcący ogonem piesek mojego sąsiada z naprzeciwka, kiedy sobie siedzi na trawniku przed furtką? Wystarczy się do tego znajomego pieska odezwać, pogłaskać i wszystko gra. Pamiętam jeszcze, że argumentem za tą izolacją był strach niektórych ludzi przed psami, strach podobny do tego przed szczurami i myszami. Wiem, że ludzie są różni, ale może zamiast uciekać przed psami czy się nimi brzydzić, warto udać się po radę do specjalisty (psychiatry czy psychologa) – bo z tego, co wiem, to takie fobie można leczyć i chyba warto to zrobić. Bo jeśli gryzonie żyją na marginesie i brak sympatii dla nich nie jest tak boleśnie odczuwalny (często je po-

prostu przecież tępiamy), to już z psami, które żyją z nami albo obok nas jest już gorzej. I może zamiast straszyc psy czy przed nimi uciekać warto stawić czoło własnemu słabościom. Tak czasem myślę, skąd ten strach przed psami się bierze, bo nie wierzę, żeby wszyscy ludzie, którzy nie lubią psów, zostali przez nie pogryzieni w dzieciństwie czy w młodości. Może to skutek wychowania: w domach, w których dzieci nie rosły z psami, nie znają ich zwyczajów, a rodzice jeszcze dolewają oliwy do ognia, strasząc dzieci psami i „uważaj, pies”, „ustrzeż się, żeby ugryźć” itp. Strach bywa więc nieuzasadniony albo raczej wpojony przez wychowanie i może nie warto obarczać swoich dzieci tą antypatią do sympatycznych zwierzątek.

Kiedyś na jednej ze stron internetowych schroniska dla zwierząt przeczytałam, że zwierzę ze schroniska kocha bardzo. Ja już wiem, że tak jest na pewno. Przycięty przez nas Flores już prawie dwa lata bezustannie macha ogonem ze szczęścia i uśmiecha się w czasie zabawy albo we śnie. Tak, bo psy się

uśmiechają tak jak ludzie i są wdzięczne chyba bardziej niż ludzie. Kiedy zachęcam znajomych, żeby wzięli bezdomnego pieska albo kotka ze schroniska albo po prostu wzięli jakiegось wałęsającego się zwierzątko, to często słyszę, że oni chcą rasowego albo ładniejszego. Ten też będzie ładny, a z czasem będzie najładniejszy i najmiłszy. Często też argumentują, że nie wezmą drugiego pieska, bo jeden im już skończył na rękach i nie chcą tego drugi raz przechodzić. Z jednej strony to rozumiem, ale z drugiej powiem, że ten nowy piesek rozproszy smutki po stracie poprzedniego, a przy okazji może pomożemy jakiejś biednej samotnej istocie. Miłość rodzi miłość, nie wypali się przy jednym zwierzątku, ale im jej więcej potrzeba, tym więcej się jej rodzi. Ma takie pokłady odnawialne jak perpetuum mobile.

Niektórzy jeszcze mówią, że nie wezmą pieska, choć bardzo by chcieli, bo boją się straty i rozpaczają po stracie. Przypniecie chyba, że to jest już głupia argumentacja, która usprawiedliwia nasze lenistwo fizyczne (nie trzeba się

psiem zajmować) i duchowe też, bo po co narażać się na jakieś niepotrzebne wstrząsy, jak można sobie żyć wygodnie i bez stresów. A propos stresu, może wstać z nas nie wie, że psy i koty bardzo odstresowują, oczywiście głównie wtedy jak ich nie zestresujemy i kiedy z nimi mieszkamy, głaszczemy i traktujemy jak członków rodziny, a nie trzymamy poza domem i z obowiązku rzucamy byle co do jedzenia.

Kiedy Flores do nas przyszedł, nie potrafił nawet wziąć jedzenia z ręki, tylko trzeba było mu je kłaść na podłogę. To też świadczy o jego właścicielach, którzy zapewne przekonani o swoim dobrym postępowaniu „żarcie mi wrzucali jak psu”. Mało kto wie, że zwierzęta podobnie jak my przeżywają traumy smutku i wyrzucone na ulicę cierpią tak jak bezdomny i samotny człowiek. Nasz łagodny jak baranek Flores bardzo długo bał się, gdy ktoś podniósł rękę do góry, bo myślał, że się chce go bić. I to chyba też świadczy wśród jakich ludzi żyjemy...

M. S.

Pomóżmy zwierzętom

Gruba warstwa śniegu, a przede wszystkim jego złodowaciała warstwa, powstała po marzącym deszczu, nie pozwala dziko żyjącym zwierzętom dostać się do trawy i runa zbóż ozimych. Głodne zwierzęta, pokonując wrodzony strach, podchodzą do siedzib ludzkich w poszukiwaniu żeru (z tego względu należy psy trzymać na uwięzi). W podobnie trudnej sytuacji są ptaki. A podobno zbliżają się tegie mrozy. Pomóżmy więc mieszkańcom lasów i pól w przetrwaniu tego trudnego okresu. Wykładajmy odpowiedni pokarm do karmników i pod szafasy w polu. Niech to będzie taka odpowiednia wersja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Wdzięczność zapewni.

(rysz)



Straż Miejska Ostrzeszów informuje,
że psy, które w noc sylwestrową z powodu hałasów i wystrzałów petard oraz sztucznych ogni, uciekły właścicielom, zostały przewiezione do schroniska dla zwierząt prowadzonego przez Państwa Katarzynę i Andrzeja Cichoszów w Niedźwiedziu.
Zaginione zwierzęta można odbierać ze schroniska – adres: Niedźwiedź 77.
Informacja pod numerem telefonu 607 245 446.

FCB
Fabryka Ceramiki Budowlanej Sp. z o.o.
Ul. Powstańców Wlkp. 13
63-500 Ostrzeszów
Zatrudni księgową/księgowego
wymagany staż pracy min. 2 lata
Kontakt telefoniczny: 062 732 34 52 i 062 732 34 40 lub osobiście: Ostrzeszów, ul. Powstańców Wlkp. 13

ZE ŚMIERCIĄ POD RĘKĘ

Część 21.



Autor wspomnień, których fragmenty wójenne publikujemy, to urodzony w Rogaszycach w roku 1928 Józef Chowański. 1 września, kiedy rozpoczynała się II wojna światowa, miał zaledwie 11 lat.

Część 21. byłą odgródzona, konie chodziły luzem. Bałem się wejść pomiędzy nie. – Śmiało – powiada – trochę krzyknąć, to spokojnieją.

I rzeczywiście, stanęłam przy źłobie; kazał przynieść uprząż. Sam nakładał, dopinał popręgi. Potem wyprowadziliśmy konie przed stajnię i przywiązaliśmy je do służącego temu draża. Mówi: „Będiesz zawsze tu wyprowadzać nieosiadłane. Tu je wpiery wycyzysz, łącznie z kopytami, latem raz w tygodniu muszą być myte wodą. Dzisiaj nie będziemy czyścić, bo nie ma czasu, ale pamiętaj, od jutra będą sprawdzały, a biada, jak byś mi konie zaniedbał, a szczególnie remonty. Pomyślałem z przerażeniem, że tym wymogom nie sprostać.

Jednego konia brał ktoś od nich, najczęściej syn, jak wracał ze szkoły, rzadko kiedy stary bądź dochodzący ze wsi już starszy Kalarus. Dobrze jeździła stara i obie córki. Zabierali konie przeważnie w niedziele na przejażdżkę.

Z ogromnym strachem, nigdy jeszcze nie jechałem wierzchem, mówię do kumpla: „Przytrzymaj konia, a ja byde jakoś patrzeć się wgramolić na siodło”. Trep ino czubkiem wchodził w strzemień, ale dosiadłem, drugiego dosiadł kumpel, na trzecim jechał ten z młyna. „A ino ostrożnie jeźdź, bo lyn nie umie, a by spod”. Wyjechaliśmy na drogę, zdawało mi się, że to nie takie trudne, nawet przez chwilę mi się podobało, przeszliśmy w kłusa, też złapałem tempo, w tym dniu galopu nie było, ale na następny w galopie nie panowałem nad koniem. Dopiero gdzieś po dwóch tygodniach nabrałem wprawy, wprawdzie daleko

mi było do kawalerzysty, ale całkiem poprawnie, bez strachu, jeździłem.

Tego dnia różniłem się jeszcze sieczką, ja, już jako koniarnik, popędzałem konie w kieracie, jego chłopak Artur, kumpel Heinrich i ten dochodzący Józef obsługiwali maszynę w stodole. Sieczki różnęło się dużo, prawie co drugi dzień, krowy nie dostawały siana, siano razem ze słomą różniłyśmy na sieczkę

Obok sieczkarni stał rozdrabniacz do buraków, po sieczce przekładano drąg do rozdrabniacza i kroilo się kosałek buraków bądź brukwi, kosałek marchwi i kosałek pyrek, do tego dwa worki paszy dla bydła. Taka była dzienna porcja na około 25 sztuk bydła, w tym około 15 krów dojnych. Doiła stara, do pomocy przychodziła kobieta ze wsi, pomagała Heinrichskowi w opręcie bydła i doju. Dziennie odstawiał w granicach 250 - 300 litrów mleka, bardzo tym się chlubił, jego pasją było przede wszystkim bydło i konie. Wszystkie inne schodziło na drugi plan. Hodował też świnię – ponad 30 sztuk, i kilka macior.

To, że tak dużo hodował i odstawiał, chroniło go od pójścia na wojnę. Był w sile wieku – hitlerowiec, aktywista, udzielał się społecznie.

Przed obiadem doglądał gospodarstwa, był wszędzie, wszystkiego dopilnował, uszuję najwięcej to mnie myszki wybierał, a to że konie niedoczyszczone i pochudły, a to że leń i niedbałuch, że się z mną rozprawi i zapamiętam jego rękę.

Jak mnie przyprowadził, oznajmił, że jak będę się starał, dobrze pracował, to zarobię 60 marek – trzydzieści pójdzie na utrzymanie, a trzydzieści wypłaci mi na rękę. Lecz wkrótce co kilka dni po parę marek ujmował i w niedługim czasie miałem puste konto, nawet deficytowe.

Jednego razu, jeszcze przed świtem wpadł do stajni, ja czyszcze

konie, a on ryknął: „Ty gnojku, wlozłeś między konie i śpisz na stojąco, chodź ino tu”.

Drzwi od stajni były na wpół otwarte, na dworze jeszcze ciemno. Miał kieszonkową latarkę i zauważył niezagrabioną słomę przed oborą.

Wieczorem zadawaliśmy z Heinrichem krowom na zakładkę, mieliśmy jeszcze parnik do siekania, oprzet świni, to mówiłem do Heinricha: „Pieprzyć, jutro się zgarnie” i tak zostało.

Wyszedłem na ganek - w jednej ręce grzeblec, w drugiej szcztotka. Podszedł krok, złapał mnie pod kołnierz i przyciągnął do siebie, nadeptał mi na stopę i całą siłą pchnął w tył. Wyrwałem stopę spod jego nogi, ale siły pchnięcia nie dało się wyhamować, rąbnąłem w drzwi i wylądowałem przed stajnią na bruku. Poczulem, jak przy upadku zabolala mnie prawa ręka w nadgarstku, złapałem drugą dłońią to miejsce i zawołałem: „Ała, boli”. To mnie uratowało od dalszego maltretowania, skończyło się tym razem na wypomnieniu: „Ani lenia, nie dostaniesz, ty śmierzący leniu, nie dość, że sam nie robisz, to jeszcze drugich buntujesz, tyś nawet żarcia nie wart. Od dziś jo i gospodynę się tobą zajmiesz, z globu zdechniesz, jak bydziejiesz, albo się zatłuszk, albo ps”. Jeszcze kilka pogroźek w moją stronę posłał, zgryztał zębami, splunął w moją stronę i odszedł.

Ręka opuchła, ale bardzo nie bolała, owinałem szmatą, kobieta, która pomagała przy bydle, radziła polewać szmatę serwatką, ale i na taką kurację nie było warunków, musiałem pracować i to ciężko.

Obietnice gospodarza odczułem już od śniadania. Każdorazowa na śniadanie dawano nam po dwa listki z kilogramowego, kupnego chleba, smarowanego polską mar-

moladą i po kubku chudego mleka, przywożonego każdego dnia dla świni. W niedzielę na śniadanie dostawaliśmy chleb nie z marmoladą, ale lekko liźnięty masłem, i kubek słodzonej kawy. Tego dnia dostałem pół kubka czarnej, zimnej, gorzkiej kawy i jeden kawałek chleba. Ktoś widać pomyślał, że do jednego kawałka chleba wystarczy pół kubka. Heinrich dostawał normalnie. Na obiad on kartofle gniecione, kraszone przegotowaną śmietaną z cebulką i kubek podkwaszonego chudego mleka, ja trzy kartofle całe, głąbiate i też kubek mleka. Na kolację prawie zawsze były kartofle z obiadu, łyżka sera i kubek kawy z mlekiem, ja sera nie dostawałem, jadłem zimne pyrki z kawą, gdyż łącho kiedy były odgrzane, raczej gdzieś na boku pieca obsuszone. Gdzieś po dwóch tygodniach otrzymałem to samo co Heinrich, z ± różnicą, że zawsze mniej. Dokuczliwie godowałem. Od czasu do czasu sytuację ratował ich syn Artur, który pomimo że był aktywistą Hitlerjugend, miał więcej wyrozumienia, nawet koleżeńkości. Czasami za pacuchą, żeby nikt nie widział, przynosił kawałek swojskiego chleba. Odebrały za to w domu nieliczne baty, oprócz tego, jak mówił, gdyby to doszło do jego organizacji, otrzymałby surowo naganę, włącznie z wyrzuceniem.

Czasami przy wywalaniu kotła podebrało się po kilka dorodnych kartofelów, Heinrich skombinował soli, więc przed pójściem spać obiecaliśmy z lupin, posypywaliśmy solą i z apetytem zjadali

Ludzie pragnęli nie tylko chleba, ale wszystkiego, w tym kartofli, jako podstawowego środka żywności.

Cdn.